

An illustration of a cozy bookstore. The storefront is made of red wood and is flanked by two glowing lanterns. A large window on the left shows the silhouettes of a man and a woman looking at a book. To the right of the window is a built-in bookshelf filled with books. The entrance door is red with a glass panel and a small bag hanging on it. A black metal bench sits on the sidewalk to the left, and a cat is sleeping on the steps to the right. The scene is framed by green vines and leaves.

Prawie jak w książkach

MARTYNA PUSTELNIK

Young

MARTYNA PUSTELNIK

Prawie jak w książkach



Redaktorka prowadząca: Dorota Jabłońska

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Magdalena Białek

Korekta: Aleksandra Marczuk

Projekt okładki i wyklejki: Agata Łuksza

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Martyna Pustelnik

Copyright © 2025, Young an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-944-3

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



ROZDZIAŁ I



Rozpikselowana japa rozmiarów lodówki przygląda mi się drwiąco. Kpi ze mnie bezlitośnie, pewnie zdając sobie sprawę, że: a) poszło mi oczko w rajstopach, b) zgubiłam się pięć razy po drodze i jestem już praktycznie spóźniona, c) wylałam na siebie kawę, co oznacza, że przez całe spotkanie będę musiała siedzieć w gigantycznym, grubym, wełnianym szaliku owiniętym wokół szyi niczym anakonda.

Mogłabym powiedzieć, że to nie jest mój dzień, ale jeśli mam być szczerą... to jest dokładnie mój dzień. Gdyby miał mnie opisać jeden dzień, to byłby on właśnie taki. Pełen nieprzewidzianych wypadków, roztargnienia, złośliwego chichotu losu i totalnego nieogarnięcia. Niezrealizowana recepta na soczewki? Ja. Rozładowany telefon z GPS-em przy wrodzonej dezorientacji w terenie? Ja. Przypadkowe założenie dwóch różnych butów, mimo że tylko jeden jest na obcasie? Ja. Więc niestety jest to bardzo mój dzień... Tej wersji mnie, która odbija się w sklepowej witrynie. Nie tej na wielkim afiszu przyklejonym do drzwi.

Mówiłam wydawnictwu, że nienawidzę tego zdjęcia. Ledwo się na nim poznaję. Ale oni uważają, że skoro się tyle wykosztowali na profesjonalną sesję, to nie można tego po prostu wyrzucić do kosza. Wyprostowali mi włosy. Przypudrowali twarz tak, że ledwo widać moje piegi. I chyba wyfotoszopowali wszystko, co się da – podwójny podbródek i mój znak rozpoznawczy, czyli fioletowe cienie pod oczami, zniknęły bez śladu. W efekcie zupełnie nie przypominam samej siebie. Dziewczyna ze zdjęcia na pewno nie potyka się o swojego psa i nie rozbija przy tym kolana na chodniku. Nie zapomina o urodzinach swojej mamy. Nie podkrađa dezodorantu młodszemu bratu i doskonale rozumie równania kwadratowe. Ma jakieś wyrafinowane imię, na przykład Geraldine, w wolnym czasie biega maratony, robi własny zakwas z buraków i chodzi na masaż kobido (cokolwiek to jest). Nie jestem tą dziewczyną. To z nią wszyscy chcą się dzisiaj zobaczyć. A zamiast tego dostaną wersję prosto z TEMU. Będę musiała im powiedzieć, że niestety, ale po odejściu od kasy reklamacji nie przyjmujemy.

Na myśl o tym, że za drzwiami, tam w środku czeka na mnie gromada ludzi, przechodzą mnie ciarki. Ci ludzie będą zadawać mi mnóstwo pytań i – o zgrozo! – będą chcieli robić sobie ze mną zdjęcia. Biedni, nie wiedzą, że nie nadają się do ani jednej z tych rzeczy.

Mogłam chociaż przypudrować te piegi. Mam ich tyle, że mój nos wiecznie wygląda, jakbym w wolnych chwilach nurkowała w cynamonie. Kilka razy na ulicy ktoś podał mi paczkę chusteczek do nosa. Przykro mi, drodzy państwo, to nie są resztki czekolady. To moja skóra.

Czuję, że na dekolcie wyskakują mi rozległe czerwone plamy – pierwsza oznaka stresu. Drugą będą paskudne jeziora potu pod pachami. Trzecią – niekontrolowany słowotok. Pod żadnym

pozorem nie możemy dopuścić do tej trzeciej. Faza trzecia zawsze kończy się katastrofą.

Owijam się szczerzej szalikocem, licząc na to, że może uda mu się mnie pochłoniąć i uratować przed tym targowiskiem upokorzeń.

Jakiś typ drze się na mnie, że blokuję drogę i mam się ruszyć. To znak. Nie mogę tu tak sterczeć, jak wyjątkowo objuczony strach na wróble. Czas wtoczyć się do środka. Co złego może się stać?



Blaszany dzwoneczek informuje wszystkich o moim przybyciu. W środku jest ciepło i jasno. Pewnie też bardzo ładnie, ale tego stwierdzić nie mogę, bo moje okulary natychmiast zachodzą parą. Nie ma jednak sensu ich zdejmować, bez nich widzę jeszcze mniej. Po omacku kieruję się w stronę lady, za którą ktoś zapewne stoi.

Marząc o darze echolokacji, wpadam na stół, przy okazji zrzucając jakąś naprawdę grubą książkę. Podnoszę ją i biorę pod pachę, udając, że jej kupno jest moim życiowym marzeniem.

- Cześć – witam się z bliżej nieokreśloną osobą sprzedającą.
- Kawa – słyszę w odpowiedzi.

Marszczę czoło. Dziwne to powitanie, ale może parujące okulary upośledzają nie tylko wzrok, ale i słuch.

- Słucham?
- Czytać nie umiesz?

Okej, zaczyna się robić dziwnie. No w tym momencie niezbyt umiem. Spod obłoczków pary dostrzegam jedynie duże brązowe oczy wpatrujące się we mnie z niechęcią graniczącą z odrazą.

Cudownie, jak zwykle udało mi się zrobić dobre pierwsze wrażenie.

– Tak, jestem analfabetką. Dlatego przyszedłam do księgarni. – Zazwyczaj nie jestem tak nieprzyjemna, ale no... to nie jest mój dzień!

Chłopak, bo w końcu udaje mi się dostrzec, że jest to chłopak, wskazuje ręką na znak przy wejściu. Ach... zakaz wchodzenia z psami, jedzeniem i kawą.

– Wybacz – dukam i posyłam mu swój najlepszy uśmiech, który zazwyczaj zjednuje mi ludzi. Nie działa, więc próbuję jeszcze raz. W końcu poddaję się i po prostu mówię: – Ja na spotkanie autorskie.

Chłopak przewraca oczami.

– Ty i połowa miasteczka.

– Hm? – Nie nadążam za jego tokiem rozumowania. Chyba para z okularów przedostała mi się do mózgu.

– A jak był u nas laureat Bookera, to przyszło tylko kilka osób. Nigdy nie zrozumieć tego świata.

Że ja, przepraszam, niby co?

Przyglądam się chłopakowi zza lady, próbując zrozumieć, jaki ma problem. Bo ewidentnie jakiś ma. Ze mną najwyraźniej. Mrużę oczy w poszukiwaniu wskazówek i/lub ewentualnie ratunku.

A potem to do mnie dociera. Koleś ewidentnie jest pseudointelektualistą i snobem. Zdradzają go marynarka z łatami na łokciach, skrawek krawata wystający zza swetra w romby i na wpół przeczytany Nietzsche wciśnięty w kieszeń spodni.

Faceci tacy jak on są naturalnymi wrogami autorek romanśów. Jesteśmy jak lwy i antylopy (gdyby lwy próbowały zamordować antylopy cytatami z Prousta).

– Nie lubisz literatury kobiecej. – To bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Chłopak znowu przewraca oczami w tak dramatyczny sposób, że zaczynam się zastanawiać, czy nie uczęszcza na zajęcia

teatralne. Dam sobie głowę uciąć, że zna całego Szekspira na pamięć.

– Nie lubię wattpadowych wypocin o literackiej jakości wypracowania dziesięciolatka.

Auć. Może jednak nie cytaty z Prousta, a kły krytyki zabijają tę antylopę.

– Aż tak nie podobało ci się *Lato szumiących brzoź?* – pytam, starając się miłym uśmiechem ukryć ból, jaki właśnie przeżywa moje kruche artystyczne ego.

– Nie czytałem tego. Sam opis mi wystarczył. – Chłopak marszczy nos z obrzydzeniem. – Założę się, że autorka śpi z całym szwadronem pluszowych misiów. Kto normalny pisze takie rzeczy?

Nie muszę przeglądać się w lustrze, aby wiedzieć, że jestem czerwona aż po cebulki włosów. Czy siedem to już szwadron?

– Ja. Ja piszę takie rzeczy – odpowiadam głosem drżącym jak osika. Frędzlęm szalika wskazuję na swoje zdjęcie z tyłu okładki.

Gdyby fotografie ruszały się jak w Harrym Potterze, moja skręcałaby się właśnie ze wstydu.

Brwi chłopaka się unoszą. Nieme przekleństwo wyczołguje się z jego ust. Patrzy to na mnie, to na fotografię, próbując upewnić się, że faktycznie to ja na niej jestem. Minę ma przy tym jak ja na algebrze. Zagadka mojej tożsamości – równanie z dwiema niewiadomymi.

Zanim ktoreś z nas zdąży coś powiedzieć i podnieść poziom niezręczności do potęgi entej, drzwi zaplecza się otwierają, przyciągając naszą uwagę.

– Clementine, jesteś wreszcie! Właśnie mieliśmy zaczynać.

Poznaję ten głos. To Blanche, z którą rozmawiałam przez telefon. Jest właścicielką tej księgarni. Patrzę na nią, starszą kobietę w znoszonej garsonce, jak na anioła, który zstąpił tu z niebios, aby uratować mnie od tego nadętego bubka.

– Widzę, że poznałeś już mojego syna Theodore’a.

Poznałam? O panie, to chyba znaczy, że ten pretensjonalny nudziarz jest jej synem. Przyglądam mu się chwilę dłużej, starając się dostrzec rodzinne podobieństwo. Nie jest uderzające, jedyne, co ich łączy, to pociągłe twarze i długie, proste nosy. Brązowe włosy, wysokie czoło i paskudny charakter Theodore musiał odziedziczyć po ojcu.

– Teddy, zaproponowałeś już jakąś kawę? Herbatę?

Nie mogę się powstrzymać. Spoglądam na smętne resztki swojej pumpkin spice latte zalewające kosz na śmieci i dostaję ataku śmiechu. Wręcz przeciwnie, droga pani, mam ochotę wytknąć.

– Obędę się bez kawy. I tak wszyscy już na mnie czekają – wyjaśniam i pozwalam zaprowadzić się krętymi schodami na pierwsze piętro. Zarozumiałego bubka, przepraszam, Theodore’a, nie zaszczycam już ani jednym spojrzeniem.

Z półpiętra dostrzegam las nóg. Robi mi się słabo. Przytrzymuję się balustrady, by nie wywinąć orła i nie policzyć stopni zębami. Docieram na samą górę i wstrzymuję oddech. Jestem słaba z matematyki, ale wydaje mi się, że mam przed sobą przynajmniej kilkudziesięciu ludzi. Jedni siedzą na plastikowych, składanych krzesłach, upchniętych tak ciasno, że czyjeś włosy na pewno wylądują w czyichś ustach. Inni stoją wsparci o wysokie regały. Jeszcze inni rozłożyli się we wnęce wykuszowego okna. Różni ich wiele – wiek, przynależność etniczna, płeć, podejście do noszenia czapek w pomieszczeniach. Łączy jedno – wszyscy trzymają w rękach mój debiut. Różowa okładka atakuje mnie ze wszystkich stron jak natrętna reklama internetowa.

Mama zarozumiałego Theodore’a prowadzi mnie do stolika, przed którym już ustawiła się spora kolejka.

Owijam frędzle szalika wokół palców, próbując ukryć drżenie rąk. Ja lubię ludzi. W małych dawkach. Lubię, póki nie stają się tłumem. I póki nie zadają mi pytań. Moje ulubione interakcje międzyludzkie nie wymagają ode mnie zdejmowania słuchawek.

Patrzę na swoich... nazwijmy ich czytelnikami, bo słowo „fani” nie przejdzie mi przez gardło, i zastanawiam się, czego oni w ogóle ode mnie oczekują. Mam siedemnaście lat i napisałam jedną powieść. Nie mam im nic odkrywczego do przekazania. Ani na temat życia, ani tym bardziej na temat miłości. Wiem, napisałam o niej całą książkę, ale...

Nie, nie mogę teraz o tym myśleć. Jeśli sobie na to pozwolę, to na pewno się rozplaczę, zrobię z siebie idiotkę, a moja agentka mnie ukatrupi. Jestem za młoda, żeby zniszczyć życie swojej agentce, którą w sumie nawet czasem lubię.

– Nie chcesz zdjąć szalika? – pyta mnie Blanche, kiedy siadamy obok siebie.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

– Rozumiem. Trzeba dbać o swój image sceniczny.

Gryzę się w policzek, by nie parsknąć śmiechem. Nie wiem, czemu Blanche myśli, że ten strój to mój świadomy wybór. Przecież w gigantycznym szaliku owiniętym wokół szyi wyglądam, jakbym cosplayowała Czwartego Doktora. Z drugiej strony jej syn ubiera się jak archaiczny bibliotekarz, ta kobieta może zatem mieć zakrzywioną świadomość trendów.

Pada moje imię, więc się uśmiecham i macham ręką. Czuję się przy tym jak Kate Middleton. W połowie ruchu zdaję sobie sprawę, jakie to kretyńskie, i przestaję. Siadam na swoich dłoniach, aby mieć pewność, że już tego nie powtórzę.

Blanche opowiada o mojej książce i mam przecucie, że niestety faktycznie ją przeczytała. Niedobrze. To może oznaczać, że będzie zadawała sensowne pytania. Sensowne pytania wymagają

sensownych odpowiedzi, a jak już ustaliliśmy – te nie są moją mocną stroną.

– Zacznę może nietypowo. – Te słowa brzmią w mojej głowie jak groźba, więc zamykam oczy, szykując się na cios. – Twoja książka to opowieść o wielkiej, zapierającej dech w piersiach miłości. Takiej, która nie zna granic.

Kiwam głową, jakbym była zabawką, którą stawia się na desce rozdzielczej.

– Wierzysz, że taka miłość jest możliwa?

Ding, ding, dong. Prawy sierpowy właśnie posyła mnie na deski. Nie wiem, co odpowiedzieć. Zasycha mi w gardle. Bezwładny język blokuje każde słowo, które chcę uformować.

Nie mam wyboru, muszę skłamać. Ci wszyscy ludzie, którzy przyszli, żeby się tu ze mną zobaczyć i patrzą teraz na mnie z nadzieją w oczach, nie zasługują na wysłuchiwanie o moim kryzysie emocjonalnym.

– Myślę, że każdy z nas ma szansę na wielką miłość. Ale co z nią robi, to już zależy od niego. – Mój głos dochodzi do mnie jak ze studni.

Spocone dłonie zostawiają plamy na spodniach. Po raz kolejny dzisiaj przygryzam się w policzek, tym razem, aby powstrzymać łzy.

Na resztę pytań odpowiadam jak na autopilocie. Lekka dysocjacja pomaga mi nie dostawać spazmów, kiedy ktoś pyta, czy tworząc swoich bohaterów, wzorowałam się na prawdziwych osobach, oraz gdy chce wiedzieć, co o mojej powieści myśli rodzina. Nucę sobie w głowie tekst hymnu narodowego, aby odgonić złe myśli. Może Bóg zrobi sobie przerwę w ratowaniu króla i mi też pomoże. Udaje mi się dotrzeć do końca spotkania bez większych wpadek. Już mam mentalnie poklepać się po głowie, kiedy pada z pozoru niewinne pytanie:

– Kiedy następna książka?

– Sama chciałamby wiedzieć. – Te słowa powinny zostać wewnątrz moich ust. Nie przemyślałam tego.

– Ale będzie jakaś, prawda? – pyta dziewczynka siedząca z przodu.

Boże, moje książki czytają nawet dzieci. Kto im na to pozwolił? Tam są ostre sceny. Powinni okleić je ostrzeżeniami, jak filmy pornograficzne.

– Będzie. Oczywiście – odpowiadam z pewnością, której nie mam.

Będzie, tylko znajdę inspirację. Będzie, tylko znowu uwierzę w szczęśliwe zakończenia. Będzie, tylko przestanę płakać za każdym razem, gdy otwieram dokument tekstowy.

Dziewczynka nie wydaje się uspokojona, ale no cóż, im szybciej się zorientuje, że życie bywa nieprzewidywalne, tym lepiej.

Po serii zdjęć i podpisów jestem wolna. Boli mnie wszystko – twarz od uśmiechania się, palce od zaciskania długopisu, głowa od myślenia. Marzę tylko o powrocie do domu, wskoczeniu pod koc i oglądaniu *Gilmore Girls*.

Niestety, Theodore niczym Cerber staje na drodze do drzwi, a więc także moich marzeń.

Gdy nie opiera się o ladę, wydaje się dużo wyższy. Muszę zadzierać głowę, aby na niego spojrzeć. Chyba wyrósł przez wakacje, bo nogawki jego spodni są zdecydowanie za krótkie. Widzę praktycznie cały wzór kolorowych skarpetek.

– Hej, wypuścisz mnie czy chcesz najpierw urządzić mi wykład na temat szkodliwości romansów? – pytam, gotowa do walki.

Jestem niska, ale też ruda. Tacy jak my nie poddają się łatwo. Widzieliście kiedyś Gimlię?

– Słuchaj, chciałem cię przeprosić.

Cofam się o krok.

Że co? Czuję się wybita z rytmu. Byłam gotowa stoczyć debatę oksfordzką przerażającą się w walkę na gołe pięści. Skąd ta nagła kapitulacja?

– Raptem doznałeś objawienia i uznałeś, że romansidła są sensem życia? Ukazała ci się Matka Boska Romansowska? Zbudujesz ołtarzyk dla Emily Henry na zapleczu?

– Nie... po prostu. To nie jest mój dzień. Zwykle nie jestem takim mizantropem. Naprawdę... ech... co za koszmar. – Jego brązowe oczy robią się dziwnie szkliste. Ktoś je pokrył glazurą. Chłopak przeciera twarz dłonią, a ja wiem, że robi to tylko po to, aby pozbyć się łez.

Te słowa zatrzymują moją uwagę. Próbuję ją pociągnąć w inną stronę, ale zdążyła już zapuścić korzenie.

– Co się stało? – pytam, bo ciekawość to jednocześnie moja największa wada i zaleta.

Theodore chyba wymrugał już wszystkie łzy tego świata, bo po prostu patrzy na mnie z lekką irytacją.

– Nic. Serio. Powiedzmy po prostu, że miłość i szczęśliwe zakończenia nie są ostatnio moim ulubionym tematem.

Nagle ten chłopak jest do mnie bardziej podobny niż to wielkie zdjęcie w witrynie. Jestem tak zaskoczona tym faktem, że zanim dojdzie do mnie, jak absurdalnie głupi jest to pomysł, mówię:

– Jesteś mi winien kawę. Chodźmy na kawę.

Sądząc po sposobie, w jaki zakrztusił się własną śliną, Theodore nie spodziewał się tych słów.

– Słucham?

Wskazuję dłonią na śmietnik, na którego dnie dogorywa mój rozmiękczony kubek.

– Moja kawa. Wyrzuciłeś ją. Bez pardonowo mi ją odebrałeś. Jesteś mi winien rekompensatę.

– Eee...

Jego mina ryby wyjętej z wody sprawia, że po raz pierwszy tego dnia zaczynam się dobrze bawić.

– Uprzedzając pytanie, tak, pijam pumpkin spice latte. Z bitą śmietaną. Ty pewnie tylko espresso, czarne jak twoje myśli?

– Podwójne, ze szklanką wody.

Satysfakcja wpełza mi na twarz. Kiwam głową i zakładam rękawiczki. Będzie ciekawie.

– No to w drogę. Na rogu widziałam kawiarnię.

– Sieciówkę, co? – Pogardę w jego tonie słychać nawet w Afryce.

– A jakżeby inaczej. Zbieram pieczątki.

Theodore przez chwilę się waha, ale ja dobrze wiem, że się zgodzi. Wygląda na kogoś, kto bardzo potrzebuje się wygadać. Kto tonie we własnych smutkach. Może dlatego jest taki szczupły – zmartwienia zżerają go od środka.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem jak dwójka rewolwerowców przed rozpoczęciem pojedynku. Zauważam, że Theodore ma naprawdę gęste rzęsy. Szczęściarz. Moje są rzadkie i jasne, potrzebują pięciu warstw tuszu, aby odciąć się od reszty twarzy.

– Muszę powiedzieć mamie, żeby zastąpiła mnie przy kasie – mówi w końcu.

Swój pełen triumfu uśmiech skrywam pod szalikiem.



Wybieram stolik przy oknie. Zawsze tak robię, bo uwielbiam patrzeć na ludzi. John Koenig wymyślił takie słowo – *sonder*. Określa się nim ten moment, kiedy zdajemy sobie sprawę, że każdy, kogo spotykamy, ma tak samo skomplikowane i pełne życie jak i my. Dobrze sobie czasem o tym przypomnieć. Szczególnie kiedy siedzi się naprzeciwko wysokiego, bladego chłopaka,

który wygląda jak wyjęty z gotyckiej powieści. Theo krzywi się z każdym łykiem swojego espresso, ale twardo pije je dalej. Z jakiegoś powodu bardzo mnie to bawi.

– Masz płamę na koszuli – stwierdza tym swoim bezbarwnym tonem, do którego powoli zaczynam się przyzwyczajać.

Cholewa, zapomniałam o tym i zdjęłam szalik.

– Nie zmieniaj tematu – mówię, aby zmienić temat.

– Jakiego tematu? Nie rozmawiamy ze sobą. Siedzisz i gapisz się przez okno.

– Rozmawiamy. O miłości.

Filizanka espresso zatrzymuje się tuż przy ustach Theo.

– Czyżby?

– Kto ci złamał serce? – pytam z charakterystyczną dla siebie subtelnością. Mama wychowała mnie w duchu „nie ma głupich pytań”. Zapomniała dodać, że niektóre bywają obraźliwe.

Pociągła twarz Theodore’a oblewa się rumieńcem.

– S...skąd pomyśł, że ktoś mi złamał serce?

Nie żebym potrzebowała potwierdzenia, ale właśnie je dostałam.

Rozsiadam się wygodnie na ławie, kładąc jedną z kolorowych poduch na brzuchu. Liczę, że jej rąbek zasłoni płamę na koszuli.

– Hmm... jesteś nastoletnim chłopakiem, który nagle psioczy na miłość i szczęście. Albo ktoś przejechał ci psa, albo rzucił w paskudny sposób. Nie ma innej opcji.

Theodore krzywi się na dźwięk moich słów.

– No co? Nie patrz tak na mnie, nie ja wymyślam reguły.

– Wiesz co, myśle, że cię nie lubię.

Przewracam oczami. Ludzie rzadko mnie lubią, przyzwyczaiłam się.

– Jakoś to przeżyję. Opowiadaj, co się stało.

– Po co? Żebyś napisała o tym książkę?

Wybieram łyżeczką bitą śmietanę z kubka i ładuję prosto do ust, przy okazji brudząc sobie cały nos.

– Może. Nie wiem jeszcze, jak bardzo zdesperowana jestem. Filizanka chłopaka z głośnym łoskotem ląduje na spodku.

– Zapomnij o sprawie. Zmywam się stąd. Skąd pomysł, że będę ci opowiadał swoją życiową historię?!

Po raz pierwszy jego głos ma w sobie jakąś emocję. Niestety jest nią oburzenie, ale hej, metoda małych kroków. Zaraz mu wszystko wyjaśnię i będzie łatwiej.

– Bo mogę ci pomóc.

– Pomóc?

Kiwam głową z delikatnym uśmiechem. Muszę być ostrożna. Jest jak dzikie zwierzę. Jeden fałszywy krok i rzuci mi się do szyi.

– Tak. Ale to zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak bardzo ty jesteś zdesperowany.

Theodore patrzy na mnie, jakbym zaczęła nagle mówić językami. Wzdycham ciężko. Najwyraźniej z nim trzeba wszystko po kolei.

– Masz złamane serce, tak?

– Mam. I co, chcesz odstawić Toni Braxton?

Nie mam pojęcia, kim jest Toni Braxton.

– To ona złamała ci serce?

Z jakiegoś powodu chowa twarz w dłoniach.

– Jezu. Nie. Nieważne.

Niedobrze. Utknęliśmy w martwym punkcie, a mi powoli kończy się kawa. Próbuję jeszcze raz, bardziej zdecydowanie.

– Słuchaj. Ja lubię miłość. Zajmuję się nią, że tak powiem, zawodowo. Napisałam książkę o miłości, więc jeśli mogę w jakiś sposób znowu sprowadzić cię na jasną stronę mocy, to to zrobię.

– Jasną stronę mocy ludzi wierzących w tęczę i jednorożce.

W tonie Theodore’a wyczuwam sporo jadu. Mówiłam – dzi-
kie zwierzę, które może rzucić się do gardła.

– Tęcza jest zjawiskiem atmosferycznym. Istnieje. Ale tak,
chcę, abyś znowu uwierzył w miłość.

– Dlaczego?

– Z powodu wróżek.

Theodore krztusi się własną śliną. Jej drobinki lądują na mo-
jej koszuli, dodając kolejną plamę do kolekcji.

– Co?

– Ja wierzę w tęczę, jednorożce i wróżki. Czytałeś kiedyś *Pio-
trusia Pana*?

– Eee... tak.

– Tam wróżki umierają za każdym razem, kiedy dziecko po-
wie, że w nie nie wierzy.

Theodore patrzy na mnie, jakby próbował zdecydować, czy
jeśli teraz stąd wyjdzie, to zaczął go gonić.

– Bo wróżki nie istnieją.

Staram się zasłonić mu usta ręką, ale tylko wylewam reszt-
ki kawy na stolik.

– Nie mów tak!!! – krzyczę tak głośno, że kilka osób patrzy
na nas oceniająco.

Theodore odtrąca moją dłoń, a oczy zmieniają mu się w dwa
wielkie spodki.

– Chcesz mi powiedzieć, na serio, na poważnie, że wierzysz
we wróżki?! Ile ty masz lat?! Sześć?!

No, przynajmniej w końcu zaczyna brzmieć jak człowiek.

– Nie mówię, że wierzę, ale nie mówię też, że nie wierzę –
odpowiadam, trzymając się kurczowo resztek cierpliwości, któ-
re pozostały w moim ciele. – Był sobie kiedyś taki koleś, Blaise
Pascal.

Kolejne oceniające spojrzenie dosięga mojej twarzy.

– Nazywasz jednego z najwybitniejszych filozofów koleśkiem?
– No, i on wymyślił coś bardzo mądrego. Założył, że bardziej opłaca się wierzyć w Boga niż nie...

– Wiem, czym jest zakład Pascala.

– No właśnie. Więc zakładając, że wszechświat jest nieskończenie ogromny, zupełnie niezbadany i ogólnie tajemniczy, nie możemy wykluczyć istnienia wróżek. A jeśli istnieją i umierają, gdy ktoś powie, że w nie nie wierzy, to... czy naprawdę chcesz ryzykować? Mieć na sumieniu niewinne stworzenie? Być mordercą? – Celuję w niego łyżeczką. Chciałam wyglądać przy tym groźnie, ale ściekający mi po ręce karmel chyba mi to uniemożliwił. No, ale chyba pierwszy raz wyciągnęłam z Theodore'a namiastkę uśmiechu. Złośliwego, ale hej!, uśmiech to uśmiech.

– Z tego, co pamiętam, to one nie są wcale takie niewinne. Dzwoneczek chyba chciała wykończyć Wendy.

– Nieważne! Trzymaj się tematu! – przerywam mu, zanim na dobre zacznie tę analizę literacką.

– Trzymam się tematu, tematu wróżek.

– Tematem nie są wróżki. Tylko miłość. Ja uważam, że kiedy ktoś przestaje w nią wierzyć, to umiera w środku. Jak te wróżki.

Theodore marszczy nos i patrzy w swoją kawę, jakby sprawdzając, czy nie ma w niej ukrytej kamery.

– Te, które nie istnieją? – pyta.

– Bam! Pierwsza ofiara. Gratuluję. – Odśpiewuję pierwsze takty marszu pogrzebowego na ich cześć, po czym kontynuuję: – Nie do końca jak wróżki. One są skazane na innych. Ale ty! Ty sam możesz się uratować przed zagładą!

Siebie i mnie, dodaję w myślach.

Theo podpira twarz rękoma i wykrzywia usta w paskudnym grymasie.

– Zastanawiam się, pod którym zaburzeniem w Googlach widnieje twoje zdjęcie.

Puszczam ten tekst mimo uszu.

– Nie no. Posłuchaj. Wiara w miłość daje nadzieję. Sprawia, że świat jest piękniejszy. Nie byłeś szczęśliwszy, kiedy jednak w nią wierzyłeś?

Po jego minie widzę, że w końcu napatoczył mi się jakiś dobry argument.

– To już nie wróci.

– Czemu?

– Bo nie... bo ona tego nie chce.

Ha, czyli jest jakaś ona. Mamy to.

– Opowiedz mi dokładnie, co się stało. Może da się to jeszcze odkręcić. Szczególnie jeśli była to prawdziwa miłość – mówię i idę zamówić drugą kawę.

Badania dowodzą, że około pięćdziesięciu procent par wraca do siebie po rozstaniu. Chłopak może tego nie wie, ale wcale nie jest na straconej pozycji.

Płacę za nasze napoje i zezuję lekko w stronę Theo. Trochę mnie dziwi, że jeszcze nie uciekł. Ja pewnie na jego miejscu byłabym już w połowie drogi do domu. A on nadal tu siedzi, słucha tego wszystkiego z przerażeniem w oczach, ale się nie rusza. To chyba dobry znak. Może faktycznie uda mi się go do tego wszystkiego przekonać.

– Ech... zwierzam się lasce, która wierzy we wróżki. Tak nisko upaść... – mruczy pod nosem.

– Udam, że tego nie słyszałam – odpowiadam, stawiając przed nim kolejne espresso. – Gadaj.

Chwilę ciszy, która następuje, umilam sobie gapieniem się przez okno. Zaczęło padać. Ludzie wyjęli parasolki, do których przyklejają się spadające z drzew liście. Starsza pani z dwoma

jamnikami pakuje się prosto w kałużę. Błoto na nosach psów przypomina czekoladę. Moja mama zawsze robiła mi czekoladę w takie dni jak ten...

– No więc tydzień temu zerwała ze mną moja dziewczyna...
Diana.

Kiwam głową i tworzę mentalny folder z napisem „Diana”. Nic o niej nie wiem, ale już mam mnóstwo wyobrażeń. Samo imię mówi dużo o człowieku. Diana księżna Walii, Diana przyjaciółka Ani Shirley, Diana bogini łowów...

– Jak się poznaliście?

Kocham to pytanie. Zadaję je każdej parze. Jest coś pięknego w tym pierwszym momencie, którego waga zmienia całą grawitację poprzedniego życia. Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia? Albo wręcz przeciwnie – antypatia? Czy może jednak jedna strona od razu wpadła po uszy, a druga potrzebowała dużo więcej czasu? Możliwości jest mnóstwo, a każda jest wyjątkowa.

– W kinie. Puszczała *Powiekszenie* Antonioniego. Byliśmy jedynymi osobami na sali.

O Jezu, tak. Idealne spotkanie. Wyobrażam to sobie. Ciemna sala, ukradkowe spojrzenia, nagłe połączenie dusz... To jest dobra historia. Warto w nią zainwestować.

– Jak długo byliście razem?

Najchętniej otworzyłabym zeszyt i zaczęła notować, ale boję się, że to by odstraszyło Theodore’a na dobre.

– Niewiele ponad rok.

W świecie licealistów to jak dekada. Związki nastolatków mnoży się razy siedem, jak lata życia psów.

– A dlaczego się rozstaliście?

Theodore wzdycha ciężko i odrzuca głowę do tyłu. Może nie chce, żebym zobaczyła, jak płacze? Wydaje mi się, że dostrzegam błysk łzy w jego oku.

Cisza ciągnie się jak lukier na resztkę mojej cynamonki.

– Jeśli mam ci pomóc, to muszę wiedzieć. Pokłóciliście się? Ktoś kogoś zdradził? Okazało się, że tak naprawdę jesteście rodzeństwem? – Moja wyobraźnia zerwała się ze smyczy i pędzi tysiąc mil na godzinę.

– Problem w tym, że ja sam nie mam pojęcia.

Eee, na to nie wpadła nawet moja chora wyobraźnia.

– Jak to? Nie powiedziała ci?

Theodore kręci głową.

– Niezbyt.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Po prostu pewnego dnia wysłała mi SMS-a, że nasz związek się wypalił i nic z tego nie będzie. I tyle. Nie odbierała telefonów. Nie odpisywała na wiadomości, a jak poszedłem z nią porozmawiać, to spojrzała na mnie z takim obrzydzeniem... – Theo bierze głęboki wdech. – Kazała mi się nie ośmieszać i dać jej spokój. Więc wróciłem do domu i już się do niej nie odezwałem.

Smutek barwi jego oczy na ciemniejszy odcień brązu. Stają się prawie czarne.

– Nie próbowałeś znowu?

Ja bym próbowała. Do skutku. Tak się nie robi, nie można z kimś zerwać bez słowa wyjaśnienia...

– Nie. Diana bardzo jasno artykułuje swoje potrzeby. I nigdy, ale to przenigdy nie zmienia zdania.

Nie wiem, co powiedzieć. To wszystko brzmi dziwnie. Przechodzi mnie lekki dreszcz. Wiem, co to znaczy. Tak się czuję, kiedy zaczynam czytać dobry kryminał – muszę się dowiedzieć, co tu się zadziało.

Dopijam resztę swojej kawy i zdecydowanym ruchem odstawiam kubek na blat.

– Dobra. Zdecydowałam, że wezmę tę sprawę. Pomogę ci.

– Eee... nikt cię o to nie prosił, Sherlocku.

– Pod jednym warunkiem...

Theodore parska śmiechem, który zaskakuje zarówno jego, jak i mnie.

– Jeszcze chcesz stawiać warunki?

– Jeśli okaże się, że to prawdziwa miłość i wszystko się dobrze skończy, to będę mogła się zainspirować waszą historią w tworzeniu swojej nowej powieści.

Jego pociągła twarz wydłuża się jeszcze bardziej w wyrazie zaskoczenia.

– Chcesz napisać o mnie książkę?

Tym razem ja dostaję ataku nagłej wesołości. Nie powinnam, ale nie mogę się powstrzymać.

– Nie o tobie. Nie jesteś dobrym materiałem na bohatera romansu. Żadna z czytelniczek by cię nie chciała na książkowego męża – wypalam, bo nie ma sensu kłamać. – Ale historia... – zniżam głos, aby podkreślić wagę tego, co mówię – ...ona ma potencjał. Ludzie lubią czytać romanse drugiej szansy.

Theodore odchrząkuje i wyciera usta serwetką.

– Nie masz lepszych tematów? – pyta z niedowierzaniem.

– Niestety w tym momencie nie. Mogę być z tobą szczerą?

Nie wiem, czemu te słowa wychodzą z moich ust. Może przedawkowałam kofeinę? Albo się przecukrzyłam? To na pewno wina wyrzutu insuliny.

Theodore wzrusza ramionami, które w jego za dużej marynarce wydają się nieproporcjonalnie szerokie.

– Czemu nie? Ja przed chwilą wylałam na ciebie wszystkie swoje problemy – odpowiada, wrzucając zmiętą serwetkę do pustej filiżanki.

– Moja pierwsza książka... ona była inspirowana prawdziwym życiem.

Theodore prostuje się na swoim fotelu. Czyżbym właśnie dostrzegła isierkę zainteresowania w jego oczach?

– Pisałaś o sobie? – pyta, a jego ton w końcu nie jest protekcyjny.

Uśmiecham się gorzko. Chciałabym. Złamane serce to pestka w porównaniu z tym, przez co właśnie przechodzę.

– Gorzej. To historia miłości moich rodziców. Którzy właśnie postanowili się rozwieść.





Sięgnij
po więcej!

-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

 Young